

*Alicja Masłowska-Burnos*

**OSOBLIWOŚĆ  
CISZY**

**Alicja Masłowska-Burnos**  
„Osobliwość ciszy”

Copyright © by Alicja Masłowska-Burnos, 2017  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2017

Wydanie I

**Wszelkie prawa zastrzeżone.**

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Korekta: **Bożena i Janusz Sigismundowie, Justyna Dopytalska**

Skład: **Jacek Antoniewski**

Projekt okładki: **Robert Rumak**

Ilustracje na okładce: © **eugeneseergeev [1] – Fotolia.com**

ISBN: 978-83-8119-047-3

**Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**

ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin

tel. 63 242 02 02

<http://psychoskok.pl>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Książkę dedykuję wszystkim tym,  
którzy pokonali własną ciszę.*

## Podziękowania

*Dziękuję firmie Astar z siedzibą w Bielsku-Białej, za udostępnienie mi niezliczonych ofert handlowych i charakterystyki sprzętu medycznego, niezbędnych do napisania powieści. W szczególności dziękuję przedstawicielowi tej firmy Jackowi Zygmie.*

*Dziękuję Danielowi Wołk-Łaniewskiemu z Wydziału Techniki Kryminalistycznej Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu, bez którego cennych informacji, wskazówek i wielkiej życzliwości względem mnie, nie byłabym w stanie „wejść w głowę” przestępcy...*

*Dziękuję Pani Iwonie Kuraś, specjalistce do spraw zamówień publicznych, za wszystkie konsultacje.*

Wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń rzeczywistych są przypadkowe.

Firmy i obiekty medyczne oraz niektóre budynki opisane w powieści, zostały wykreowane na potrzeby „Trylogii ciszy”. Wymienione projekty są oparte na wnikliwej analizie dokumentów podobnych projektów, jednak te opisane zostały stworzone przeze mnie i są elementem tylko i wyłącznie fikcji literackiej.

*Przeszłość nie jest krainą, którą tak łatwo opuścić.*

Éric-Emmanuel Schmitt

# Spis treści

Prolog . . . . .	8
Rozdział 1 . . . . .	20
Rozdział 2 . . . . .	40
Rozdział 3 . . . . .	57
Rozdział 4 . . . . .	70
Rozdział 5 . . . . .	81
Rozdział 6 . . . . .	93
Rozdział 7 . . . . .	106
Rozdział 8 . . . . .	124
Rozdział 9 . . . . .	139
Rozdział 10 . . . . .	158
Rozdział 11 . . . . .	178
Rozdział 12 . . . . .	194
Rozdział 13 . . . . .	209
Rozdział 14 . . . . .	225
Epilog . . . . .	237

## Prolog

**M**ijały tygodnie i miesiące, a wiara w to, że jeszcze kiedyś będzie normalnie już tak ochotczo mi nie towarzyszyła. Myśl o przyszłości drażniła mnie. Mama powtarzała wciąż, że „jakoś to będzie”. Rzuciałam ryśunkami po całym domu, nie miałam ochoty już ćwiczyć z nikim, chciałam być sama, zatopiona we własnej samotności. W swoistej ciszy, która była nie do wytrzymania dla człowieka potrafiącego wciąż normalnie myśleć i czuć. Zamyślałam się w sobie coraz chętniej. Mama nie mogła tego znieść ani zaakceptować. I tak chodziła ze mną od specjalisty do specjalisty, a na linoleum prowadzącym do coraz to nowym gabinetów wyszukiwała jakichś wskazówek, porzucanych map do skarbu, do celu, jak mi pomóc, jak mnie uleczyć. Tracąc nadzieję, walczyłam jednak, walka była we mnie chorobliwa, stawała się chorobą ambicją. To właśnie wtedy ukształtował się mój, na potrzebę sytuacji, mocny, bezkompromisowy i niezależny charakter. Dążenie do perfekcji, drobiazgowość, pragmatyzm. Tak, te cechy ukształtowały mnie. I jeszcze ta systematyczność, wszystko po to, żeby wygrać, żeby odzyskać niesprawiedliwie utracone funkcje. Dokładnie wtedy zaczęła się moja choroba, uświadomiłam to sobie dopiero w dorosłym życiu, niestety. Wstydziłam się, to było tylko moje. Nikogo do tego nie zapraszałam.



## Opole, zima 2000 r.

– Teresa, co ja mam ci powiedzieć? Przecież wiesz, jak jest, też jesteś lekarzem, od wypadku biegasz z nią do specjalistów. A ty? Kiedy zajmiesz się sobą?

Jej oczy zbyt często na mnie patrzyły, drażniąc niepotrzebnie. Wszystkie spojrzenia obcych ludzi były dla mnie nachalne. Oczy tej kobiety były wyjątkowo dziwne, mroczne, ciemnozielone, przechodzące lekko w brąz, w środku natomiast trochę pożółkłe, takie wielobarwne. Mama jej ufała, a ona za bardzo się nie przejmowała, traktowała mnie jak dziecko. Schematycznie, tak było dla niej najprościej, nie wczuwała się we mnie, odbierała setki telefonów, podczas, jak to nazywała, terapii.

– Wiesz, Teresa, takie osoby wymagają wielopłaszczyznowej opieki, ona – tak o mnie mówiła, nawet nie pamiętała, jakie noszę imię, mówiła o mnie „ona” – ...ona, może mieć nawet problemy, wiesz – przeciągała, aby ugrać na czasie i jeszcze szerzej otworzyć portfel mojej mamy. Ta z bezradności płaciła za wszystko wszystkim wokół. – Może mieć problem z precyzowaniem czasu, określeniem przestrzeni, a nawet, no wiesz, przyjrzyj się jej w domu uważnie, bo to może mieć kluczowe znaczenie w terapii. Tak, zaobserwuj ją, czy nie ma problemu z rozpoznawaniem przedmiotów i jak z jej nastrojami bywa, bo mnie ostatnio kompletnie ignoruje. Może by trzeba psychiatrę jeszcze raz poprosić na konsultację. Po urazie mózgu wszystko może się zdarzyć. Pewne słowa wypowiada, niektóre przekleństwa, czasami kawałki jakichś sentencji, modlitw, ale co tak naprawdę kaleczy jej głowę, co w niej jest, nie wiem. Zostaw nas same, ta moja

innowacyjna terapia wymaga spokoju, muszę się skupić, kochana, załatw sobie coś na mieście albo skocz do fryzjera, bo nie gniewaj się, ale od tej waszej rodzinnej tragedii jakoś się zaniedbałaś, pomyśl o sobie czasem, co?

Przytuliła ją, a mama się trochę rozkleiła, co bardzo mnie zirytowało.

Mama wyszła, tak jak ją prosiła ta kobieta, siedziałam cicho, bo inaczej nie potrafiłam, wyzywałam ją jedynie w myślach, tak rozładowywałam to wszystko, co jest we mnie, w środku, w mojej głowie popsute. Przekleństwa dobrze rozumiałam, wiedziałam, co oznaczają, były mi bliskie, czasami potrafiłam je wypowiadać, niektórych przedmiotów wciąż nie umiałam określić, myliły mi się, układały w dziwne zbitki literowe w głowie. Ale przekleństwa były mi bliskie, towarzyszyły od samego początku moich problemów, nie wiem, nie rozumiem dlaczego, ale tak właśnie z nimi było.

Lekarka rozmawiała przez telefon, mówiła do partnera, że trzeba kupić ziemniaki na obiad, bo ona wczoraj nie zdążyła i jeszcze, że korepetytorka Darka za dużo sobie pozwala. Kolejny raz podniosła cenę lekcji za godzinę, a niczego ich syna nie nauczyła, przynosi tylko trójki z matematyki, a on ma być wybitny jak jego rodzice, krzyczała do słuchawki, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Później wyciągała karty, chyba swoich pacjentów, o zgrozo, miała ich więcej, nie tylko ja byłam tą nieszczęśliwą niemotą, było ich sporo. Pewnie przyciągały ich do jej gabinetu te liczne dyplomy wiszące krzywo na ścianie, tak, to pewnie te dyplomy. Jej nawet nie chciało się ich równo zawiesić, ich ramki pokrywała warstwa kurzu, drażniło to moje nozdrza, kichałam, a ona się śmiała pod nosem ze mnie. Nie zrobiła mi nigdy niczego złego i niestosownego, ona tylko była obojętna na mnie, na mój wstydlivy problem, który nie chciał się wyprowadzić z mojej głowy. Najgorszy był chyba ten stan, w jakim

się znajdowałam, zamknięta w swojej głowie doskonale wiedziałam, co się ze mną dzieje, nie wszystko jeszcze potrafiłam nazwać. Jedno jest pewne: wiedziałam, co się ze mną dzieje i jaki stanowią problem dla mamy.

Minęło już sporo czasu od mojego przyścia do gabinetu tej kobiety, nie wiem dokładnie ile, nie określe tego, nawet z tym mam kłopot.

– Dobrze, jeszcze tylko karta tego durnia Derenia i się tobą zajmę, dziecko – popatrzyła na tarczę zegarka – bo twoja mama niedługo po ciebie wróci, za jakieś piętnaście minut. Trochę się zasiedziałam, ale cóż, przecież chyba się jej nie poskarżysz, co? – To było pytanie retoryczne, wiedziała o tym. Dobrze, już idę po malowanki, dziecko sobie jeszcze chwilkę poczeka. Rzuciła na blat sterty rysowanek. Faktycznie, jak dla dziecka i to małego, takiego kilkuletniego. Nie tłumaczyła mi, co mam z nimi zrobić, zadzwonił do niej telefon i zagadała się kolejny raz. Siedziałam przed tymi rysowanekami, bolały mnie już pośladki. Bezczytność to okropny stan, jak tylko mi się uda, nadrobię te miesiące, może nawet lata. Dokończę liceum i będę najlepsza, uda mi się nadrobić ten bezsens, ten nikomu niepotrzebny, utracony mój czas wśród żywych. Wyciągnęłam rękę do tych rysowanek, zaciekały mnie, było ich sporo, pokserowane z jakiejś książki, która na okładce miała takiego chyba niebieskiego stworka, zaciekały mnie. Tylko nie wiem, co mam z nimi zrobić, ona wciąż gada przez ten telefon, dużo na jej twarzy maluje się emocji, chyba jest zła, podnosi ton głosu. Wchodzi moja mama, lekarka nie jest wcale speszona, nawet specjalnie się tej mojej mamie nie tłumaczy z przebiegu innowacyjnej terapii, w jej jakże renomowanym gabinecie. Pokrytym kurzem rutyny, znieczulicy i braku pasji.

– Tereska, i co zrelaksowałaś się trochę, powiedz, na kawkę sobie skoczyłaś chociaż? Tu za rigiem, nie wiem, czy ci

zdążyłam powiedzieć, tu za rogiem są świetne lody. Pamiętasz te we Wrocławiu na Komandorskiej? Takie prawdziwe lody, ta lodziarnia jest tam przecież od lat, teraz tu, w Opolu otworzyli bardzo podobne. Chodź, pokażę ci z okna, to sobie podejdziesz, jak będziesz u mnie z Majką na terapii za trzy dni. Jesteśmy umówione, tak? Za trzy dni.

– Tak, jesteśmy umówione, tylko powiedz mi, co dzisiaj zrobiliście, są jakieś postępy, trochę czasu już minęło? – Niepokoi się, to mądra kobieta, w końcu się przecież kiedyś zorientuje, że wyrzuca w błoto ciężko zarobione, na nocnych dyżurach, pieniądze. Kiedyś jej to opowiem, przecież kiedyś będę potrafiła.

– Och, Teresko, no nie idzie to wszystko jakoś w szalonym tempie do przodu. Szału nie ma, jak widzisz, Maja siedzi przed tymi rysunkami od dobrych dwóch godzin i kwadrans, ale za kwadrans dodatkowo ci nie policzę, wiesz to tak ze względu na koleżeństwo lekarskie po fachu. Musi być tych wizyt jeszcze wiele.

– Hanno, konkretnie, to jest moje dziecko, ma osiemnaście lat, powinna być teraz w klasie maturalnej, nie może stracić kolejnego roku. Proszę cię, masz syna w jej wieku, chodzili razem do jednej klasy. Wiesz, że za chwilę studniówka, a ona od tak dawna zamknięta jest w swoim świecie. Wiem, że to był uraz mózgu, ale to ty jesteś neurologopedą, znajdź jakieś wyjście, żeby wyrwać moje dziecko z tego potrzasku, z tej cholernej ciszy – uniosła się. Albo pokieruj mnie do innego specjalisty, przecież masz jakichś kolegów, jak nie tu w Polsce, to zawiozę ją za granicę, rozumiesz?

– Co ty mi insynuujesz, Teresa? Co?

– Niczego ci nie insynuuję, postaw się w mojej sytuacji. Majka była nieludzko zdolna, żyła jak normalna nastolatka, a teraz coraz bardziej się zamyka. Co byś zrobiła na moim miejscu, przecież też masz syna, zrozum mnie!

Przeglądałam te rysunki, zaciekały mnie, skupiałam się na nich, nie słuchając ich kłótni, nie wszystko z niej rozumiałam. Rysunki były interesujące, było ich sporo. Zebrałam je wszystkie równo, wyrównałam brzegi i ujęłam w dwie garści. Tak mi było łatwiej się nauczyć i skojarzyć wszystko, jak był wokół mnie totalny ład, w tym gabinecie nie umiałam się skupić, tu panowała zła atmosfera, brud i chaos, taki dziwak jak ja nie dojdzie do siebie w takich warunkach. Chcę iść do domu, tam jest czysto. Wyrównywałam brzegi kartek, ledwo potrafiłam je pomieścić w rękach. Wstałam, zasunęłam za sobą krzesło i razem z rysunkami podeszłam do drzwi. Popatrzyłam na mamę, wtedy mama chyba zrozumiała, że ja wszystko rozumiem, że mam swoje zdanie. Dałam jej jasny pozawerbalny komunikat: „Mamo, wychodzimy, nie mamy czego szukać w tym gabinecie. Tylko zabierz te wszystkie rysunki, nie pozwól, żeby mi je wyrwała z dłoni, za pomocą tych rysunków, ładu, spokoju i systematyczności, wyjdziemy z tego gówna. Obiecuję, tylko nie pozwól jej zabrać mi tych rysunków”.

– Ładnie ją wychowałeś, Teresa. Mój Dareczek nigdy by się tak nie zachował, a tu taka niemota, a zabrała mi książkę i pokserowane materiały do terapii. Ładnie ją wychowałeś, nie ma co, a była taka genialna w szkole, z taką lekkością jej wiedza przychodziła.

– Co ty powiedziałaś o moim dziecku, że kim ona jest? „Niemotą”? I ty prowadzisz terapię, z chorymi ludźmi pracujesz?

– Popatrz na siebie, idiotko, od śmierci męża chodzisz w tych szarych spódnicach. Kto by pomyślał, że tak wszystkie skończycie.

– Nie pozwolę się dłużej obrażać, poradzę sobie sama z moim dzieckiem, nie potrzebujemy już twojej pomocy, wystarczająco mnie już naciągnęłaś. Maja, wychodzimy.

– Zaraz, zaraz, to są moje materiały, oddawaj je, ty niemoto, oddawaj je.

– Zostaw jej te rysunki, bo będziesz miała ze mną do czynienia, mam jeszcze trochę układów w państwowych szpitalach, wyrobię ci taką opinię, że się nie pozbierasz. Zostaw jej te rysunki, sama odczytam z nich polecenia. Zresztą ona rozumie prawie wszystko, co się do niej mówi. Ty nawet tego nie dostrzegasz. Za kilka miesięcy wróci do życia. Chciałaś zmarnować mi moje dziecko...

Wyszłyśmy z gabinetu, pożegnałam tę kobietę ironicznym uśmiechem. Tak, teraz to ona miała nade mną przewagę, a może tylko tak właśnie się jej zdawało. Ja już wtedy wiedziałam, że ta moja słabość kiedyś przeistoczy się w siłę. Wmawiałam to sobie, aż w końcu w to uwierzyłam. Stawałam się coraz systematyczniejsza. Z rysunkami spędzałam dni, tygodnie, miesiące. Mama i Ania czytały mi dokładnie i powoli polecenia. Jak one czytały mi je na głos było mi znacznie łatwiej. W tamtym okresie tylko je do siebie dopuszczałam i tak zostało na wiele lat. Najzwyczajniej bałam się ludzi. Nasze zachowania, lęki – to wszystko bierze się skądś. Najprościej jest stać i oceniać, bo nie musimy podejmować trudu zrozumienia kogoś ani analizowania jego zachowania. Tak jest nam wygodnie. Rysunki i polecenia do nich znałam na pamięć. Jeden z nich lubiłam najbardziej, śnił mi się często już w dorosłym życiu, kiedy byłam sama w moim mieszkaniu, lubił do mnie powracać wtedy, kiedy byłam zmęczona, bezradna, dając mi nieludzką i niezrozumiałą wręcz siłę do precyzyjnego wykonywania powierzonych mi zadań i wyznaczanych przez pracodawcę celów. Ten rysunek był jak pokonywanie „martwego punktu” w biegu. Wiedziałam, że pokonując ten punkt, pokonam samą siebie i pójdę dalej już silniejsza.

Rysunek był czarno-biały, o formacie bliskim wymiarom A4. Czytałam już sama polecenia, którymi była zapisana

górną część obrazka. Rozumiałam je wszystkie, to nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Na obrazku były trzy figurki, takie duszki z zarysowanym konturem postaci. Jedna z tych kreskówkowych postaci miała wąsy i wyraźnie szersze zarysowane ramiona w pasie barkowym, to ewidentnie był mężczyzna, głowa rodziny. Trzymał wędkę, na końcu wędki była narysowana złowiona przez mężczyznę ryba. Tata, bo to chyba tata, trzymał dumnie wędkę. Jezioro było pokryte licznymi wodorostami i tatarakami, a w nich plątały się ryby i raki. Płynął też łabędź i dzika gąska, a na brzegu widać było ropuchę. Krajobraz był bogaty, całkowicie bajkowy, przerysowany... Na łódce, po prawej stronie mężczyzny była pani duszek, miała zarysowane długie włosy, po lewej zaś, mniejsza postać, drobniejsza i zdecydowanie było to dziecko. Ta właśnie postać została przedstawiona przez autora bez jakichś szczególnych cech. Jedyne uśmiech na twarzy dziecka zwracał uwagę. A na niebie leciał motyl i słońce świeciło intensywnie... Tak, tego dnia potrafiłam określić te wszystkie szczegóły, znałam ten obrazek na pamięć, dziś potrafię już o nim opowiedzieć, stawał się częścią mnie, śnił mi się później latami, choć wypierałam tamten obraz ze swojej pamięci, choć nie wierzyłam w szczęśliwą rodzinę. Inne obrazki też pamiętam, mama je ze mną analizowała w każdej wolnej chwili, konsultowała też wszystko to, co ze mną robi z zaprzyjaźnionym neurologopedą, tym razem z kimś, kto naprawdę chciał i potrafił mi pomóc. Do gabinetu na kolejną terapię już nigdy nie chciałam wrócić. Zawzięłam się ze swoimi rysunkami. Codziennie ćwiczyłam o kilka minut dłużej, wszystko sprawdzałam na zegarku. Orientacja w czasie też do mnie wróciła na nowo. Zachwycałam się czasem, pieściłam tym zachwytem nad potęgą upływającego czasu wszystkie swoje zmysły, aby w końcu dojść do perfekcji. I aby móc dogonić ten czas,

który straciłam, dokładnie 23 miesiące, 23 pieprzone miesiące mojego życia. Zaprzyjaźniłam się z przekleństwami, to one pomagały odreagować, kiedy tak trudno było mi poradzić sobie jeszcze z innymi słowami, nie rozumiałam tego, może lekarz, z którym telefonicznie wszystko konsultowała moja mama, znał odpowiedź, ja jednak nie. Z tamtego okresu najdokładniej pamiętam dzień studniówki, ten dzień, w którym normalnie zakładałabym na siebie czerwone koronkowe majtki, żeby przyniosły mi szczęście na egzaminie dojrzałości. O swoich marzeniach zapomniałam już. Maturę miałam napisać z fizyki, a może z chemii, nie pamiętam, byłam świetna ze wszystkiego. Zawsze z przodu, bez jakiegoś większego zaangażowania nauka przychodziła mi z łatwością, do czasu wypadku miałam wielu znajomych, miałam nawet przystojnego chłopaka. Siedziałam na parapecie, szerokim, drewnianym, w naszym mieszkaniu w Opolu. W rękę trzymałam filiżankę z porcelany, a w niej mocną czarną liściastą herbatę, którą przed wyjściem zaparzyła mi mama. Tego dnia było zimno, okna pokryte były szronem, po mieszkaniu roznosiło się przyjemne ciepło z grzejników, siedziałam na parapecie, obserwując przechodniów, to była taka moja odskocznia od ćwiczeń. Od całodniowej samotności, w oczekiwaniu na mamę i siostrę, które funkcjonowały normalnie, nie tak jak ja. Patrzyłam przed siebie, obserwowałam ludzi, a później próbowałam na głos opowiadać co widzę, w najdrobniejszych detalach opisywałam ich garderobę, pasujące lub niepasujące do siebie dodatki. Zobaczyłam nagle przez okno moją najlepszą przyjaciółkę, Aurelię, mówiliśmy na nią pieśzcotliwe Aureolka, lubiła to zdrobnienie. Ja wypowiadałam je z ogromną czułością. Tęskniłam za nią, po wypadku była u mnie tylko raz, tylko jeden pieprzony raz. Nie potrafiłam pomóc jej jak kiedyś w matematyce, dlatego stwierdziła, że nie będzie już więcej tracić na mnie czasu. Cenny czas,



ona nie chciała go na mnie tracić. „Po co mam tracić na Maję swój cenny czas”, mówiła do mojej siostry tuż po wypadku, kiedy wszyscy myśleli, że praktycznie niczego nie rozumiem. Ja rozumiałam prawie wszystko, o czym rozmawiali, tylko zamknięta byłam w swoim świecie. Poderwałam się z parapetu, odsłoniłam firanki, otworzyłam okno, nie interesował mnie mróz, który tańczył po szybach, rysując coraz ciekawsze historie. Zaczęłam do niej machać, tak bardzo chciałam do niej krzyknąć, mówienie wychodziło mi coraz lepiej. Udało mi się, krzyknęłam: „Aurelia!”. Byłam z siebie tak bardzo dumna. Machałam jej, pokazując otwartym gestem dłoni, że zapraszam ją na herbatę, pokazywałam na filiżankę, robiło mi się coraz zimniej, wychładzałam mieszkanie. Nieważne, chciałam, żeby do mnie przyszła. Przecież od tak dawna jej nie widziałam. Nieważne co było, ważne jest to, co jest tu i teraz, byłam w stanie wybaczyć mojej „Aureolce” wszystko. Nawet to, że stałam się dla niej kimś, dla kogo nie będzie tracić swojego cennego czasu. Moja przyjaciółka podniosła głowę, uśmiechnęła się do mnie, odwzajemniłam ten uśmiech, a w moim sercu rozkwitła wiosna. Czułam przyjaźń, radość. Cieszyło mnie jeszcze to, że udaje mi się opowiedzieć coraz więcej na głos, o tych moich rysunkach, o tych moich duszkach. Tak, to miał być dobry dzień, jeden z takich, które wspomina się długo w dorosłym już życiu. Aureolka zwolniła kroku, rozglądała się wokół, tak jakby kogoś szukała. A później krzychała:

– No, Przemek, rusz się, rusz tylek z tego samochodu, pokażę ci coś. Bo to nawet nie jest ktoś, tylko coś. A taka jest ładna, taka śliczna, i co z tego, jak z trudem skleciła moje imię. No chodź, zobacz ją, zobacz swoją eksdziewczynę. Niemotę.

– Daj mi spokój, muszę wracać do domu, bo stara się mnie czepia. Muszę z bratem posiedzieć, bo ona szaleje z komitetem

rodzicielskim, cały dzień szykują tę studniówkę. Wiesz, jaka ona jest, aktywistka jedna. O co ci chodzi, Aurelia? – Wysiadł z samochodu i podbiegł do niej.

– Spójrz w górę na swoją byłą, na Majkę. – Podniósł wzrok, popatrzył na mnie. Nie umiałam powiedzieć, jakie uczucia w nim dominowały. Fizycznie podobałam mu się jak dawniej. On też, tak jak Aurelia, przestał mnie odwiedzać, a ja głupia nigdy nie pokorzyłam faktów.

– A była taka ładna, taka zdolna, a teraz to my szykujemy się na studniówkę, a ona pewnie nigdy nie skleci zdania poprawnie po polsku. Nasza niemota – krzyczała w głos, powtarzając słowo „niemota” kilka razy. Chłopak wciągnął ją do samochodu swojego ojca, w którym zatraciłam się kiedyś z nim i ja.

Stałam przy otwartym na oścież oknie aż do powrotu mamy. Nuciałam sobie w głowie słowa piosenki Krystyny Prońko i Majki Jeżowskiej:

Przyjaciółko mego serca – wróć,  
mam pusty dom.  
I znów jestem sama, sama znów,  
nie licząc trosk.

Ja wierzyłam tobie jak nikt, a ty  
znałaś każdy śmiech i łzy.  
On nie kochał nigdy żadnej z nas,  
nie kochał nas.

Przyjaciółko mego serca – wróć,  
on nie jest wart,  
by przez niego niewidzialny mur  
tak dzielił nas.

Szczęście miało jego kolor i wdzięk,  
jego oczy, jego śmiech.  
Szczęście miało dla nas jedną twarz,  
tę samą twarz.

Pogubiłam się wtedy, zatraciłam się w sobie na długie lata. Wpadając z jednej ciszy, którą udało mi się pokonać, w otchłań następnej, bardziej dotkliwej. W obliczu cierpienia wszyscy jesteśmy tacy sami, mądrzy czy głupi, bogaci czy biedni cierpimy tak samo. Łzy spływające po policzkach zawsze wycieramy takim samym drżącym ruchem rąk... Wycofałam się ze sfery uczuć, otuliłam chłodem, liczył się tylko czas. Ważne było tylko to, aby go odzyskać, aby odzyskać to, co straciłam. Nadrobiłam moje szczęście w dyplomach i ocenach. Mogłam sobie nimi wytapetować ściany chłodnego mieszkania, nie potrafiłam kochać, z niczym poza pracą nie umiałam sobie poradzić, uciekłam w nią do czasu, kiedy poznałam miłość, do czasu kiedy odzyskałam samą siebie, do czasu kiedy poznałam mojego Adama.

# Rozdział 1

**23 sierpnia 2013 r. piątek**

– Przetarg na dostawę sprzętu medycznego dla waszego szpitala już dawno rozstrzygnięty, pani Maju – powiedział przeciągle, nachylając się nade mną, nieco za blisko, jak na służbową relację.

– Tak, gratuluję, reprezentowana przez pana firma okazała się najlepsza. Choć, przyznaję, miałam sporo wątpliwości. Ostatecznie zdołał pan przekonać prezesa Nawara. Gratuluję raz jeszcze, mam nadzieję, że dostarczą państwo sprzęt w wyznaczonych terminach. – Wstałam zza biurka, wyprostowałam się i lekko nieobecny wzrokiem odprowadziłam treść wyświetloną na moim laptopie. Mężczyzna trzymał moją dłoń, nie chcąc jej wypuścić. Był pewny siebie, wysoki, miał kruczoczarne, lekko pofalowane włosy, co nie do końca mnie w nim urzekło. Wyglądał na takiego trochę wymuskanego lalusia z idealnie ogoloną brodą. Drażniło mnie w nim bardzo nieprzestrzeganie zasad dresscodu. Ten krótki rękaw w koszulach, które nosił, przecież to niedopuszczalne dla handlowca. Niewątpliwie jednak był przystojny i coś w sobie miał. Sama nie wiem co...

– Jest mi pani winna kawę – wtrącił nieoczekiwanie, puszczając w końcu moją dłoń, która pod wpływem jego ucisku zrobiła się bardzo ciepła i lekko wilgotna, co wprawiało mnie w lekkie zakłopotanie.

– Ja panu? Dlaczego?

– Nie wierzyła pani, że moja oferta jest najlepsza, wiem o tym! Liczę na dobrą kawę w ramach przeprosin.

– Panie Piotrze! – Spojrzałam mu wymownie w oczy.

– „Piotrze” wystarczy – przerwał mi.

– Panie Piotrze, każde doświadczenie czegoś nas uczy, musiał się pan tym razem solidniej przygotować, co z pewnością wyjdzie panu na dobre w przyszłości. Zatem nie jestem panu nic winna – droczyłam się z nim, a on wciąż trochę nachalnie przyglądał się moim malinowym wydatnym ustom.

– Będę po ciebie o siedemnastej. Jest piątek, nasza relacja służbowa została zakończona, wiem też, że nie masz żadnych innych zobowiązań po pracy – wydobyl z siebie na jednym tchu z arogancją w głosie.

– To chyba lekka przesada z pana strony. – Mężczyzna stawał się coraz bardziej bezczelny. Noo, ale w sumie co mi szkodzi, jakiś mały seks bez zobowiązań pod koniec tygodnia, właściwie czemu nie – pomyślałam.

– Skończyły się pani argumenty? – Przekręcił głowę ponownie w moją stronę, utrzymując kontakt wzrokowy w taki sposób, abym nie mogła ani na chwilę spłoszyć jego spojrzenia.

– Dobrze, chyba nie mam siły z panem dłużej negocjować, jestem po ciężkim tygodniu pracy, oboje zresztą jesteśmy. Małe odprężenie nam się przyda. Zna pan Opole?

– Tak, zdążyłem się zapoznać z miastem, w ciągu miniego tygodnia byłem tu codziennie.

– Zatrzymałeś się w którymś z hoteli? – Spuściłam nieco z tonu i zaczęłam zwracać się do niego na „ty”

– Nie, nie zatrzymałem się w żadnym z hoteli. Wrocław przecież nie jest aż tak daleko, wolę codziennie być w domu na czas.

– Nie rozumiem, w domu na czas? – Zastanowiło mnie trochę to stwierdzenie. Jeśli jest singlem jak ja, to nie musi być wcale codziennie w domu na czas.

– Tak, mam taką małą puchatą przyjaciółkę w domu – roześmiał się.

– Jaką? – zapytałam z lekkim zdenerwowaniem, którego starałam się nie okazywać.

– Ma na imię Arkadia i jest przepiękną biało-czarną kotką. Wiem, co sobie pomyślałaś, nic z tych rzeczy, nie mam tego „shitu”, w który wpadł prawie każdy z naszego pokolenia. Rodziny, dzieci, śmieci do wynoszenia i rozmemlanej żony z wiecznymi pretensjami o to, że wracam zbyt późno z pracy do domu.

– No widzę, że ktoś tu ma podobne spostrzeżenia, zaczyna mi się podobać.

– Podobać będzie ci się dopiero dzisiaj wieczorem – dodał zuchwale.

– A co z kotką o dość nietypowym imieniu?

– Spokojnie, jakoś temu zaradzę, dzisiaj jestem tylko dla ciebie.

– No dobrze, przekonałeś mnie, proszę oto mój adres, bądź po mnie o osiemnastej, do siedemnastej mogę nie zdążyć zrobić się na bóstwo.

– Dobrze, zatem do osiemnastej.

\* \* \*

Wbiegłam szybko do mojego wynajmowanego mieszkania. Zdecydowałam się wyprowadzić od mojej mamy trzy lata temu, nie miałam ochoty się przed nią tłumaczyć z trybu życia, na jaki się zdecydowałam, wiem, że ona nigdy nie zaakceptowałaby tego, że nie uznaję żadnych stałych związków, interesuje mnie w zasadzie chyba tylko seks bez zobowiązań. Pewnie jestem totalnym dnem emocjonalnym, trudno, inaczej żyć nie potrafię. Niech się cieszy z mojej siostry, poukładanej i przykładowej pani domu, przynajmniej jedna córka jej się udała. Ja nie muszę niczego nikomu udowadniać,

a dzisiejszego wieczora mam ochotę zrelaksować się z Piotrem. Mam tylko nadzieję, że okaże się płomiennym ko-chankiem, na to szczerze liczę. Mam za sobą okres posuchy, przez te przetargi szpitalne pracowałam jak szalona. Należy mi się w końcu trochę zapomnienia. Otworzyłam kabinę od prysznicza, nalałam ukochany lawendowy żel na myjkę i zaczęłam myć swoje ciało, następnie starannie wykonałam piling w taki sposób, aby nie pozostał na ciele ani jeden gram suchego i obumarłego naskórka, przejechałam bardzo dokładnie rękoma po łydkach, upewniając się, że nie ma na nich zbędnego owłosienia, na szczęście jak zawsze były starannie wydepilowane, podobnie jak inne części mojego ciała. Nie-nawidzę zbędnego owłosienia, wywołuje ono we mnie falę odrazy. Osuszyłam włosy ręcznikiem, spryskałam je mocno sprayem z keratyną, starannie wysuszyłam na grubej szczot-ce, w ciało wmasowałam uwodzicielsko pachnący olejek makadamia. Pod oczy szybko nałożyłam płatki z kwasu hia-luronowego, tak aby pozbyć się oznak zmęczenia po całym tygodniu pracy. Podeszłam do bielizniarki, zaczęłam zasta-nawiać się nad wyborem bielizny. Cóż, Piotr nie jest uciele-śnieniem kobiecych snów. Mógłby bardziej przywiązywać uwagę do detali, to jednak nie zwalnia mnie z perfekcji. Nic mnie z tego nigdy nie zwalnia. Dziś wybieram czerwoną ko-ronkową bieliznę w zestawie z czerwoną sukienką, sięgającą jedynie do połowy uda i czarnymi szpilkami od Loubouti-na. Tak trochę jak ekskluzywna prostytutka. No cóż, o taki właśnie efekt mi chodziło. Szybko jeszcze tylko spryskałam się Chanel Chance, z biżuterii praktycznie zrezygnowałam, aby nie przesadzić. Również o osiemnastej pod drzwiami wejścio-wo do mojego bloku podjechał taksówką Piotr. Usłyszałam dzwonek do drzwi, leniwie podeszłam, aby je otworzyć.

– Witaj, księżniczko, wyglądasz bajecznie.

– Bardzo oryginalny tekst – pomruczałam.